

ANNA DYMNA

„Sprawdzam się jako człowiek”

Emanuje siłą, pięknem i niespożytą energią, a pasją, z jaką żyje, pomaga żyć innym. Aktorka teatralna i filmowa, profesor krakowskiej PWST, prezes Fundacji Mimo Wszystko. W tym roku, w Starym Teatrze w Krakowie, obchodziła 35-lecie pracy artystycznej.

■ **Ma pani dwóch braci. Pewnie jako jedyna dziewczynka w rodzinie wychowywana była pani pod kloszem?**

A.D.: Jakim kloszem?! Było nas troje, w domu się nie przelewało. Tata był antykomunistą, a kierownicze stanowiska mogli obejmować tylko partyjni fachowcy, więc nie było łatwo. Często brakowało pieniędzy, ale mieliśmy wszystko. Tata sam zrobił mamie pralkę, piekarnik, a my mieliśmy różne niezwykle zabawki – rękodzieła. Ojciec najczęściej pracował daleko od Krakowa, do domu przyjeżdżał w soboty, zabierał nas motorem z przyczepą na ryby nad Dunajec lub Rabę. Lato zwykle spędzaliśmy pod namiotem. Kąpaliśmy się w zimnej wodzie, łowiliśmy ryby, strzelaliśmy z wiatrówek, gotowaliśmy na ognisku, a wieczorami śpiewaliśmy i graliśmy z rodzicami w chierczyka. Umiałam łapać żaby i zaskrońce, gwizdać, pluć na odległość, chodzić po drzewach, bić się z chłopakami

jak żadna z moich rówieśniczek, ale też lepić pierogi, patroszyć ryby, robić kompoty na zimę. Byliśmy wolnymi, radosnymi dziećmi. Mama wychowywała nas w poczuciu bezgranicznego zaufania, co w moim przypadku szczególnie procentowało. Powtarzała: „Małgosiu (w domu tak się do mnie zwracano), pamiętaj, że bardzo cię kocham i ufam ci”, więc nie mogłam jej zawieść. Miałam najpiękniejsze dzieciństwo na świecie i to jest mój skarb.

■ **W pani rodzinnym domu przywiązywano wagę do tradycji?**

A.D.: Oczywiście. Miesiąc przed świętami Bożego Narodzenia w domu panował totalny bałagan: cięliśmy sreberka, robiliśmy zabawki na choinkę. A na Wielkanoc malowaliśmy pisanki, kleiliśmy baranki. Tradycja była i zawsze będzie obecna w mojej rodzinie. I choć mojej mamy już nie ma, to kutia zawsze jest na wigilijnym stole. Teraz



POMAGAĆ INNYM to jeden z życiowych celów Anny Dymnej. Za działalność na rzecz niepełnosprawnych aktorka została odznaczona m.in. Orderem Uśmiechu i Medalem św. Brata Alberta

KOCHANE CZYTELNIUJKI
"PRZYJACIOŁKI"!
ŻYJCIE WAM RADOŚCI I SŁOŃCA
NAWET W POCHMURNE DNI.
POZDRAWIAM

Anna
Dymna 2009

Z ALBUMU GWIAZDY



Podczas jednej z wielu podróży po Polsce. Na fotografii brakuje mamy, która robi zdjęcie małej Ani, jej bratu i tacie



Anna Dymna z Bogusławem Lindą w „Warszawiance”, wystawianej w krakowskim Starym Teatrze



W przydomowym ogródku z drewnianym wózkiem zrobionym przez tatę zabawa była najlepsza

przygotowuję ją z moim synem. Tak jak kiedyś z rodzicami robię przetwory na zimę, soki, nalewki. Wiem, że można wszystko kupić w sklepie i ktoś mógłby powiedzieć, że to głupota i strata czasu. Nieprawda! To są właśnie te ważne momenty, gdy w tym pędzie zwariowanego świata, w jakim żyjemy, na chwilę możemy się zatrzymać, pomyśleć o czymś ważnym. Właśnie podczas krojenia, malowania, ucierania możemy popatrzeć sobie w oczy, porozmawiać o sprawach naprawdę ważnych. Tradycje pomagają nam żyć, a gdy, nie daj Boże, w rodzinie dzieje się coś złego, przychodzi choroba, śmierć – są tym, co nas stawia do pionu.

■ Wartości wyniesione z domu nie przeszkadzały pani w dorosłym życiu? Czasami trudno je stosować w świecie, w którym brakuje autorytetów...

A.D.: Gdy byłam bardzo młodą aktorką, prawdziwymi autorytetami byli dla mnie starsi koledzy aktorzy, Władysław Hańcza i Zofia Jaroszevska. Przyjaźniłam się z nimi, do dzisiaj pamiętam ich każde słowo, które pozwoliło mi uniknąć wielu błędów. Starzy ludzie to prawdziwy skarb i szkoda, że w Polsce są tak niedoceniani. Ale kiedy człowiek jest młody, nie zastanawia się nad upływem lat. Dopiero po czterdziestce zaczyna spoglądać wstecz, wraca do przeżyć z dzieciństwa, rodzinnego domu, który go ukorzenił. I jeśli te korzenie sięgają głęboko, to nawet gdy zawieje silny wiatr, nie zdmuchnie nas z właściwej drogi. Ja uprawiam piękny, ale dziwny, pełen przygód i pokus zawód. Ale miałam to szczęście, że mama wpoili mi pewne zasady: szacunek dla drugiego człowieka, pracowitość,

tolerancję, pokorę. To pomaga mi przez całe życie. Dzięki tym wartościom potrafię dostrzegać wspaniałych ludzi i przyjaźnić się z nimi. Oni dają mi siłę, odwagę i radość. Jeśli w ogóle cokolwiek rozumiem z tego życia, to właśnie dzięki nim.

■ Myśli pani, że gdyby pani dzieciństwo upłynęło w dobrobycie, pani stosunek do życia i ludzi byłby inny?

A.D.: Myślę, że dostatek bądź ubóstwo nie mają tu znaczenia. Ważne, żeby rodzice byli blisko dzieci. Mimo swoich zajęć znajdowali czas, by popatrzeć im w oczy, rozmawiali z nimi, byli otwarci na ich problemy. Jak urodził się mój synek Michał, próbowałam mu wpajać wartości wyniesione ze swojego dzieciństwa. I udało mi się z nim przyjaźnić. To jest mój ukochany kompan, rozmówca, przyjaciel... Wiem, kiedy mnie potrzebuje i zawsze może na mnie liczyć. Ja na niego też. Nie ma chyba jakiegoś generalnego sposobu wychowywania. Trzeba się do dziecka zbliżyć. Zdobyć jego zaufanie.

■ Dzięki Fundacji Mimo Wszystko pomaga pani wielu ludziom. Dlaczego więc denerwuje panią określenie „Anioł z Krakowa”?

A.D.: Nie ma w tym nic niezwykłego, że człowiek robi coś dobrego. Przecież wtedy lepiej się czuje. Martwi mnie, że dobre gesty nie są u nas normą. Zaręczam, że nie jestem żadnym aniołem. Po prostu bardzo lubię ludzi. Całe życie dostawałam od nich tysiące listów. Za komuny bali się, więc pisali przede wszystkim o swoich marzeniach. Teraz dostaję listy od bezradnych, samotnych i zrozpaczonych osób, które oczekują pomocy. Usiłowałam pomagać indy-

widualnie, ale to była głupia pomoc. Teraz mam fundację. Mogę pomagać konkretnie, celowo, uruchamiać życzliwość w wielu ludziach. Przede wszystkim opiekuję się osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. Oni często nie rozpoznają we mnie aktorki, Barbary Radziwiłłówny czy Marysi Wilczur, tylko człowieka. Dla nich nie jestem aniołem lecz zwykłym człowiekiem, ich Anią. I mogę sprawdzać się jako zwykły człowiek.

■ Robi to pani również dla siebie? A może brakuje pani miłości?

A.D.: Miłością jestem otoczona na każdym kroku. Tak naprawdę brakuje mi tylko czasu i snu. Prócz fundacji mam jeszcze studentów, program „Spotkajmy się” w TVP 2, krakowski Festiwal Zaczarowanej Piosenki i setki obowiązków w fundacji, Salony Poezji... No i mój ukochany teatr, który zawsze mnie ratuje. Uciekam na scenę w mój magiczny świat i tam zawsze odnajduję spokój i bezpieczeństwo, odpoczywam od rzeczywistości. Moim życiem rządzi pasja i miłość. Czuję się potrzebna i nawet nie mam czasu martwić się, że mija czas.

■ Jakie pani ma przesłanie dla czytelniczek „Przyjaciółki”?

A.D.: Mamy wiele powodów do radości, choć może nawet o tym nie wiemy, więc cieszyć się każdym nadchodzącym dniem, każdą chwilą i zróbcie wszystko, byście były zawsze komuś potrzebne, bo najgorsza jest samotność. Jeśli potrafisz pomagać, robić coś z pasją, będziesz szczęśliwa. Ale najważniejsza jest miłość. Jest wszystkim, co istnieje na tym świecie.

Rozmawiała TERESA M. GAŁCZYŃSKA